

## Coś więcej

Tak sobie pomyślałem, że może Piotr Zaremba pisać o pozastolecznych zjawiskach teatralnych, to mogę i ja. Zwłaszcza że mam o czym. Skądinąd recenzje, opisy, relacje wspomnianego redaktora dotyczące spektakli zespołów nieprofesjonalnych są mi niezwykle bliskie. To moja młodość spędzona na przygotowywaniu przedstawień w toruńskiej Od Nowie, na licznych festiwalach studenckich i rzadkich wyjazdach zagranicznych z teatrem, który tworzyliśmy z przyjaciółmi. Całkiem niedawno zaś jedną z byłych aktorek teatru Matysarek ze Złotowa, tak pięknie opisanego przez red. Zarembe, wypromowałem na magistra. Z najwyższą przyjemnością.

Dzisiaj też o teatrze, ale innym. Oto zespół toruńskiego Teatru im. Wilama Horzycy wystawił sztukę Geralda Sibleyrasa "Napis". Sztuka już w Polsce znana, wystawiana swego czasu w kilku teatrach, niekiedy w gwiazdorskiej obsadzie. Bohaterami są trzy małżeństwa mieszkające w dobrej dzielnicy Paryża. W pewnym momencie najmłodsze z nich, dopiero co zamieszkałe w tym domu, odkrywa w windzie obraźliwy napis skierowany pod adresem małżonka. Dalej streszczać nie ma sensu, bo trzeba to zobaczyć.

Aliści okazuje się, że ta komedia ma swoje drugie dno, dno odczytywalne tu i teraz, co wcale w przypadku adaptacji utworów zagranicznych, zwłaszcza współczesnych, nie jest takie oczywiste. Tutaj aktorzy toruńskiego zespołu dali nieprawdopodobny pokaz teatralnego kunsztu i niemałego wyczucia naszych, polskich imponderabiliów. Doprowadzali mnie do śmiechu, który mógłbym nazwać śmiechem przez łzy. Bo tak naprawdę do śmiechu tu nic nie było. Rechotać można ze wszystkiego, ale czy warto?

W znakomitej, szaro-szarej i pomysłowej scenografii zobaczyłem naszą codzienność. Spektakl jest głośny, niekiedy wrzaskliwy, wytupany. Postaci się przekrzykują, wchodzą sobie w słowo, lżą się i wyśmiewają. I ta poprawność polityczna. Wypisz, wymaluj nasz parlament, programy publicystyczne i to, co nazywamy dzisiaj polityką, zatracając wartość i faktyczne znaczenie tego pojęcia. Młody reżyser Paweł Paszta doskonale połączył słowo z ruchem, celnie wypunktował nasze "dialogi" i w krzywym zwierciadle pokazał polityków, a nade wszystko "polityków", dla których stado jest ważniejsze niż dobro wspólne, którzy tak pięknie przeinaczają to, co ktoś inny powiedział, którzy tworzą fakty, wcale w nich nie uczestnicząc.

Bardzo dobrze oddano to w scenie, w której młoda mężatka oznajmia, że chce mieć dziecko. Tymczasem reszta uznaje, że właśnie zadeklarowała, iż jest brzemienna. Im bardziej kobieta przekonuje i krzyczy, że jeszcze nie jest w ciąży i nawet nie wie, czy może, tym bardziej sąsiedzi wnoszą toasty za poród i zdrowie maleństwa. Nasza klasyka. Powiedziałbym laboratoryjnie ukazana "szejnfeldiada". Co innego słyszeć, co innego mówić. Ale zabawne jest to tylko w teatrze. Tutaj z przyjemnością wymienię aktorów: Ewę Pietras, Matyldę Podfilipską, Agnieszkę Wawrzkiwicz, Jarosława

Felczykowskiego, Michała Marka Ubysza, Arkadiusza Walesiaka. I tyle o przedstawieniu.

Ale na tym nie koniec. Otóż warto zauważyć, że istnieje teatr poza Warszawą, Wrocławiem czy Krakowem. Teatr, który pomimo braku Jana Klaty czy innych teatralnych celebrytów ma naprawdę coś do powiedzenia, z którym trzeba się liczyć, bo na to najzupełniej zasługuje. Teatr dysponujący świetnym zespołem podejmującym z powodzeniem najtrudniejsze wyzwania. Teatr bez wielkich nazwisk, ale z wielkimi aktorami. I niemal zawsze z pełną widownią. Powiedziałbym prawdziwy teatr. A może jedyny prawdziwy? Na wskroś uczciwy.

W czasie gdy teatralna stolica i Poznań żyją Frłjciem, Toruń żyje teatrem. Gdy tam gdzieś na salonach młodzi pchają się do sitcomów czy głupawych seriali, tutaj młodzi po prostu grają, dostają ważne role i głośne standing ovation.

Bo są u licha jakieś dwie Polski. Jedna to ta warszawska, gdzie politpoprawność i robienie interesików mieszają się z nepotyzmem i nawoływaniem do zmiany dobrej zmiany, gdzie nie ma teatru, ale są za to gwiazdy, skąd artyści uciekają do okazałych posesji pod miastem i spotykają się na biesiadach u Giertycha. I ta nasza Polska. Znacznie ciekawsza, pracowitsza z prawdziwymi artystami, z których żaden nie zgodziłby się zagrać w "Kłątwie", bo oni umawiali się na sztukę, a nie na popłuczyny po rozmaitych Dariach Fo czy innych pieszczochach stolic.

Kiedyś zwoziło się ludzi do stołecznych teatrów autokarami. Teraz chyba stanie się odwrotnie. Przerażona "europejskością" sztuka czmychnęła do Supraśla, gdzie Wierszalin, do Gardzienic, do Torunia czy Zielonej Góry. Bo to, o czym piszę, to cytując Aldonę Jawłowską, więcej niż teatr. Daleko więcej niż teatr. Zapraszam do Torunia.

"Coś więcej"  
Aleksander Nalaskowski  
wSieci nr 27  
04-07-2017